

CHRISTINE KENNEALLY

PIEKŁO SIEROCIŃCA

Historia tajemniczych śmierci, zmowy milczenia
i poszukiwania sprawiedliwości



„To książka przerażająca, lecz przy tym odważna i potrzebna,
znakomita lektura. Można ją porównać do *Archipelagu Gułag*”.

RICHARD RHODES

CHRISTINE KENNEALLY

PIEKŁO SIEROCIŃCA

Przełożyła
Joanna Krystyna Radosz

FILIA

Dla tych, którzy powiedzieli prawdę.

AKT I

Cnota dyskrecji jest jedną z najpotrzebniejszych w życiu religijnym. Dyskretna Siostra to filar każdego domu. Ta, której dyskrecji poskąpiono, może uczynić znaczną szkodę.

*Z raportu Przełożonej Prowincjalnej z oficjalnej wizytacji
w Sierocińcu Świętego Józefa, 16 kwietnia 1947¹*

¹ Dokumentacja od Sióstr Opatrzności Bożej zgromadzona podczas procesów obejmowała doroczne raporty Przełożonej Prowincjalnej z oficjalnej wizytacji w Sierocińcu Świętego Józefa; *Conseils Pedagogue (Porady dydaktyczne)*, Siostry Miłosierdzia, Służebnice Ubogich, wyd. II, Dom Macierzysty Opatrzności Bożej, Montreal 1936; *Chronique De l'Orphelinat Saint Joseph*, Burlington, Vermont; *Zbiór praw i zasad Cór Miłosierdzia*, Służebnice Ubogich, Dom Macierzysty Opatrzności Bożej, Montreal 1959; Wytyczne Episkopatu odnośnie do działań i obowiązków przełożonych diecezji oraz katolickich fundacji charytatywnych Vermontu w sierocińcu; porozumienie z 1963 roku pomiędzy diecezją a Zgromadzeniem Sióstr Opatrzności Bożej; pochodzący z 1866 roku Akt założycielski Azylu dla Sierot oraz Szpitala im. Opatrzności Bożej w Burlington; fragmenty zebrań zarządu, sprawozdań finansowych; lista mająca zawierać imiona wszystkich sióstr pracujących w Burlington w latach 1935–1960, a także akta osobowe sióstr. Wszystkie przypisy, o ile nie zaznaczono inaczej, pochodzą od autorki.

Rozdział 1

Był mroźny styczniowy dzień roku 2016, gdy otworzyłam od dawna zamknięte drzwi i po raz pierwszy weszłam za próg miejsca będącego niegdyś Sierocińcem Świętego Józefa². Piękna i przerażająca zarazem bryła budynku nurzała się w ciemności i chłodzie, gdy spacerowałam po jej wnętrzu, a długie korytarze zwielokrotniały odgłos moich kroków na zniszczonych drewnianych podłogach.

Znajdująca się w piwnicy stołówka, niegdyś wesoło żółta, w chłodnym zimowym świetle prezentowała niepokojący odcień zieleni. Gdzieniedzie odpadała farba. Próbowałam sobie wyobrazić wszystkie dzieci siedzące tu przy stolikach, jedzące swój posiłek z opuszczonymi głowami w obawie, co się stanie, jeśli je zemdli.

² W 1942 roku do starego budynku dodano przybudówkę. Po wyjeździe Sióstr Opatrzności Bożej nową część zajęły biura diecezji. W 2011 roku diecezja sprzedała budynek oraz całą posesję College'owi Burlington za 10 milionów dolarów, a ten głównie zajmował przybudówkę. Działalność zakończył w 2016 roku. Fragmenty głównego budynku użytkowano przelotnie w różnych celach w różnych latach; niektórzy twierdzili, że przez krótki czas przebywali tam uchodźcy. Jednak przez większość czasu pozostawał nietknięty.

Weszłam do góry, przeszłam przez drzwi z witrażem prowadzące do spowiednicy, minęłam wypolerowane drewniane konfesjonały, nagie mury ze spleśniałym tynkiem. Ciemny korytarz ciągnął się przez całą długość budynku, podobnie jak na pozostałych trzech kondygnacjach. Podłogi, zdeptane kolejnymi pokoleniami dzieci, wciąż miały przytłumiony połysk. Po jednej stronie otwierała się przestrzeń pełna regałów o półkach pokrytych warstwą kurzu. Wciąż widać było dobrze zaznaczone numery dzieci: 53, 19, 34...

Po latach rozmów z dawnymi mieszkańcami i lektury ich słów czułam się tak, jakbym już znała każdy kąt tego miejsca. Tu, w spowiednicy, klęczący po jednej stronie drewnianej kraty chłopczyk powiedział księdzu, że inny ksiądz go dotykał. Reakcją spowiednika były wściekłość i zaprzeczenie. Teraz wiedziałam, że został oskarżony o znęcanie się. Tu, na ławkę w bocznym pomieszczeniu, wciągano z korytarza dzieci i zmuszano do zostawiania rodzicami chrzestnymi podczas pospiesznych obrzędów chrzcin porzuconych noworodków. Tu, na tym piętrze, pewną dziewczynkę, ślaniającą się z wyczerpania, zmuszono pośrodku nocy do biegania w tę i z powrotem po korytarzu. Tu znajdowała się lodowata łazienka, w której zakonnica tak złapała inną dziewczynkę za gorset ortopedyczny, że ta objęła się o ściany. Tu, przy drzwiach windy, jeszcze inna dziewczynka w panice ścisnęła zamykające się drzwi, a dwie zakonnice wypchały ją w ciasną przestrzeń. Tutaj wreszcie, na ostatnim piętrze, znajdowały się nędzne, strome schody pokryte grubą warstwą kurzu, a u ich szczytu – strych. Każdy centymetr budynku poniżej miał jasno wyznaczony cel. Jednak ten szeroki, osobliwy strych pokryty siatką promieni i plam ciemności zdawał się niemal lasem, zdziczałą puszcza.

Gdy nerwowo spacerowałam po strychu, wydało mi się, że być może Siostry Opatrzności też się go obawiały. Nawet gdy karały tu dzieci, zazwyczaj udawały się na górę parami. Może poza siostrą James Mary, którą gniew, nienawiść i pragnienie kontroli jakby napędzały. Tutaj, pośród rzeźb i starych skrzyń, przywiązała do krzesła nieszczęśliwą nastolatkę, Sally Dale, po czym powiedziała jej, że to krzesło elektryczne i że ją zabije.

Stałęm na strychu i rozejrzałam się wokół. Próbowалам sobie wyobrazić Sally, zobaczyć oczyma duszy, jak siedzi na krześle. Chciałam jej powiedzieć, że wiem, co się z nią stało. Nikt o niej nie zapomniał. Jej słowo nadal żyło.

Lecz tu pozostało jedynie echo i kurz.

Jesienią 1994 roku Sally Dale z Middletown w stanie Connecticut otrzymała pocztą zaproszenie. W Hampton Inn w miejscowości Colchester w stanie Vermont miało się odbyć dwudniowe spotkanie dla „przetrwańców” Sierocińca Świętego Józefa. Użycie tego słowa uderzyło Sally. Przez wiele lat nie miała kontaktu z nikim z sierocińca. Starła się jak najmniej myśleć o tym miejscu. Była jednak ciekawa widoku dawnych twarzy. Chciała też ustalić, kto został przy życiu.

Kierował jej mąż, Bob. Bob opiekował się Sally, odkąd wzięli ślub, a jej dzieci – córkę i syna – z pierwszego małżeństwa traktował jak własne. Teraz, gdy już podrosły, nie drżała tak jak wcześniej, ilekroć je zostawiała. Razem z Bobem mieszkali na parterze domu dla trzech rodzin. Jej syn, Rob, wraz z żoną zajmowali piętro. Sally zawsze czekała, gdy Rob wracał z nocnej zmiany w więzieniu. Zostawiała uchylone drzwi i zapalone światło, a do łóżka szła dopiero wtedy, gdy słyszała głos Roba wołającego: „Dobranoc, mammo!”.

W sobotę, 18 września, pierwszego dnia spotkania Sally zdążyła zrobić kilka kroków w sali konferencyjnej hotelu, gdy usłyszała męski głos:

– Hej, diablico!³

Był to Roger Barber, który jako chłopiec z dwiema siostrami mieszkał w Sierocińcu Świętego Józefa. *Diablica*, tak ją tam nazywano. Od dawna o tym nie myślała.

– Sal, doskonale wyglądasz jak na to, co przeszłaś – powiedziała jedna z siostr Barbera⁴.

– Byłaś naszą własną Shirley Temple⁵ – zapewniła druga. Przypomniała też, jak Sally jako dziecko często śpiewała *God Bless America* albo *On the Good Ship Lollipop*.

Sally też pamiętała część tych rzeczy. Czasem przypominała sobie również te złe, na przykład momenty, gdy siostry ją biły. To jednak było dawno temu. Rozpoznała tylko kilka osób spośród pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu zgromadzonych. Spotkała Debbie Hazen, Katelin Hoffman, a także Coralyn Gidry i Sally Miller, ale wiele kobiet, które widziała, mieszkało w sierocińcu już po tym, jak go opuściła. Niektóre z nich rozpoznawały się nie po nazwiskach, lecz po numerach,

³ Sally A. Dale podczas przesłuchania prowadzonego przez Elisę Benedek oraz Charlesa Clarka, sprawa sądowa Sally A. Dale i Roberta A. Dale'a, żony i męża, przeciwko Rzymskokatolickiej Diecezji Burlington w Vermont, Katolickim Fundacjom Charytatywnym Vermontu, Azyłowi dla Sierot imienia Świętego Józefa i/lub spadkobiercom lub następcom, a także przeciwko Siostrom Miłosierdzia Opatrzności Bożej vel Siostrom Opatrzności Bożej, sąd rejonowy USA w dystrykcie Vermont, 26 sierpnia 1997, stenogram, s. 109.

⁴ Tamże, s. 110.

⁵ Tamże.

których zakonnice używały do ich identyfikacji: *Trzydzieści dwa! Czternaście!*

Część oficjalna pierwszego dnia rozpoczęła się od wystąpienia Philipa White'a, wysokiego mężczyzny o przyjaznej aparycji, który wyjaśnił, iż jest prawnikiem. Przedstawił Josepha Barquina, mieszkańca sierocińca z początku lat 50. XX wieku, oraz kilka innych osób, które oferowały pomoc. Jedna z nich, mężczyzna, mówił o Biblii i zwracaniu się do Boga w trudnych czasach. Dwoje terapeutów zaoferowało swoje wsparcie każdemu, kto potrzebuje rozmowy. Do dyspozycji pozostawiali też lokalni dziennikarze.

Sally nadal pamiętała kilku chłopców, którymi opiekowała się w żłobku sierocińca w czasach, gdy tam mieszkała. Jeżeli jednak nawet był wśród nich Barquin, nie pamiętała go. Mężczyzna wstał i zaczął opowiadać o zakonnicy, która wsadziła go do szafy i robiła mu straszne rzeczy. Nadal miał bliźny. Następny odezwał się Roger Barber. On powiedział, że jedna z zakonnice kazała grupie starszaków go zgwałcić. W miarę upływu czasu swoje historie opowiadało coraz więcej dawnych mieszkańców i coraz więcej z nich odczuwało zdenerwowanie. Kilka osób wybuchło w sali albo na hotelowych korytarzach. Pewien wychudły, zmarnowany życiem mężczyzna zwrócił się do innego na oczach wszystkich zgromadzonych. Wyjaśnił, że przyjechał, ponieważ w sierocińcu znęcał się nad tym drugim. Przez całe życie odczuwał wyrzuty sumienia i chciał za to przeprosić. Potem jakaś kobieta opowiadała, jak zakonnice wytarły jej twarz jej własnymi wymiocinami. Sally przypomniała sobie, że jej przytrafiła się taka sama historia. Niemal słyszała głos siostry po tym, jak zwymiotowała jedzenie: *Nie będziesz taka uparta! Będziesz tu siedzieć i to jeść.*

Inna kobieta wspomniała, jak obserwowała zakonnice trzymającą niemowlę za kostki i bijącą jego główką o stół, aż przestało płakać. Słuchając tych strasznych historii, Sally czuła, jak coś w niej pęka. Potrząsając głową, zaczęła powtarzać:

– Nie, nie, nie, nie, to nieprawda⁶.

Było jednak inaczej. Czar prysł, a ją zalały ogromną falą wspomnienia z czasów sierocińca.

Chociaż spotkanie trwało dwa dni, Sally z ledwością wytrzymała jeden. Jeszcze tego samego popołudnia wyszła z hotelu, a głowa jej pękała. Bob odwiózł ją do domu. Następnego ranka miała biegunkę i z trudem wypowiadała słowa. Całą noc spędziła, leżąc wyprostowana jak struna, przypominając sobie rzeczy, o których nie myślała od dekad, i powtarzając:

– Nie, nie, nie, nie.

Kiedy Bob zapytał, dlaczego to mówi, odpowiedziała tylko:

– Nie.

Minęło ponad dwadzieścia lat, nim spotkałam syna Sally, Roba Dale'a, w innym stanie, w knajpie na skrzyżowaniu dwóch ruchliwych wielopasmówek, głośnym miejscu o dość kiepskiej reputacji. Rob usiadł przy oddzielnym stoliku, w łoży wyłożonej ciemnym drewnem, a obok siebie położył starą, zniszczoną teczkę.

Czułam przede wszystkim ulgę. Jego znalezienie zajęło mi dwa lata. Przez dwie dekady pracował w służbie więziennej, gdzie specjalizował się w przestępczości zorganizowanej oraz wywiadzie. Teraz starał się nie ujawniać szczegółów swojego życia prywatnego. Jedną z pierwszych rzeczy, które mi powie-

⁶ Tamże, s. 20.

dział, było to, że przed zgodą na spotkanie zadzwonił do prawnika, którego oboje znaleźliśmy. Chciał się upewnić, że może mi zaufać. Mimo wszystko zachowywał się swobodnie, a twarz miał radosną i otwartą.

Rob obawiał się, że wezmę historie jego matki i napiszę o niej tak, jakby była wariatką. Jak wyjaśnił, zdarzało się, że opowiadała mu rzeczy, o których myślał: *To nie jest normalne*. Na początku lat 90. zaczął podejrzewać, że matka popada w szaleństwo. Opowiadała mu historie z czasów swojego pobytu w Sierocińcu Świętego Józefa, a on mówił:

– Mamo, to nie brzmi sensownie.

Sally jednak pozostawała nieugięta.

– Bobby, to działo się naprawdę – powtarzała. – Mówię prawdę. Tak właśnie było.

To nie tak, że Rob w ogóle nie wierzył Sally. On po prostu nie chciał uwierzyć w jej opowieści. Kochał matkę. Mówił mi, jaka była silna. Kiedy złamała kość, niemal nie zareagowała. Bez wątplenia był to rodzaj siły, ale też efekt specyficznego reżimu.

– Mama tak bardzo chciała mieć rodzinę – opowiadał Rob. Kochała dzieci i zawsze była dla nich dobra. Przyjmowała potomstwo sąsiadów, piekła dla niego ciasteczka. Sama miała dziwny stosunek do jedzenia. Do domu zresztą też. Wypełniały go uroczne drobiazgi w rodzaju małych porcelanowych figurek zwierząt, ale wszystko znajdowało się dokładnie na swoim miejscu. Kiedy Rob robił jej psikusa, wynosząc jedną rzecz do innego pokoju, zauważała to natychmiast. Były i inne sygnały, które nauczył się rozpoznawać dopiero później. Co roku latem Sally brała go nad okoliczny staw i uczyła pływać. Mówiła przy tym, że jako dziecko wrzucono ją do jeziora Champlain

i powiedziano, że albo popłynie, albo utonie. Kiedy mu to opowiadała, był tak mały, że nie dotarło do niego, jak niepokojąca jest ta historia.

Opowiedziałam Robowi, że kiedy Sally była mała, w swoim otoczeniu miała status sławy ze względu na śpiew. Rozbawiło go to.

– Matka kochała Shirley Temple. Była w niej zakochana na zabój! O rany...

Rob powiedział, że Sally znała wszystkie piosenki z filmów, ale zawsze tylko je nuciła. Nigdy nie śpiewała.

Po kilku godzinach Rob wziął teczkę i położył ją na stole. Sally dała mu ją przed śmiercią. W środku znajdowała się dokumentacja jej walki o sprawiedliwość i listy, które napisała w latach 90. o wszystkim tym, co widziała w sierocińcu. Były tam historie o dzieciach, które na jej oczach zmarły albo zostały zamordowane. Po moim telefonie Rob po raz pierwszy zapragnął przeczytać te listy. To doświadczenie okazało się dla niego bolesne i niezwykle poruszające.

Spędziłam wiele czasu na poszukiwaniu śladów życia Sally i dowodów na prawdziwość jej historii. Przez kilka ostatnich lat chodziłam po cmentarzu, na którym niegdyś się chowała. Było tam miejsce, gdzie zwykła siadać: szary kamień pokryty zieloną trawą. Przechodziłam po trasie dawnych torów kolejowych i ruszałam w dół stromego stoku do wybrzeży jeziora Champlain. Tamtędy szła do wody, by popływać. Szukałam w całym kraju ludzi, którzy znali ją kiedyś albo których ona znała, albo którzy żyli niegdyś tak jak ona. Niczym myśliwa polowałam na daty, czasy i zdarzenia, i na bardziej efemeryczne sposoby potwierdzenia prawdziwości historii Sally. Czy te nieprawdopodobne opowieści, śmiałe twierdzenia, szalone przy-

puszczenia były w ogóle możliwe? Czy to stało się naprawdę? Czy mogło się stać?

Drogę do Sally znalazłam dzięki temu, że przez minione pięć lat rozmawiałam z ludźmi takimi jak ona. Byli tajemniczy, wyizolowani, byli niezwykle przybyszami z innej rzeczywistości. Zanim się tym zajęłam, mieszkałam w różnych miejscach, przemierzałam rozmaite kraje. Zrobiłam doktorat. Byłam matką. Przez lata pracowałam jako dziennikarka i uważałam się za dorosłą, światową osobę. Wierzyłam też, że świat to znajome i oswojone miejsce.

Teraz już wiem, że niektórzy bez trudu przemieszczali się między doskonale widoczną rzeczywistością a jej kulisami: instytucjami, sierocińcami, miejscami, w których pewne rzeczy działały się za zamkniętymi drzwiami i nigdy nie wychodziły na światło dzienne.

Nikogo pewnie nie zaskoczy, że księża należą do tej uprzywilejowanej kasty podróżników między światami. Sami tak twierdzą od tysięcy lat. Obiecują też, że przeprowadzą nas przez most w niebiosach, widoczny tylko dla nich. Tak naprawdę jednak wielu z nich niepostrzeżenie przemykało między znanym nam światem i nieznanymi miejscami, takimi jak sierocińce, gdzie korzystali ze swojej ogromnej władzy, by naginać według własnej woli rzeczywistość mieszkających tam dzieci. Jeżeli dorastaliście w katolickim środowisku, na pewno spotkaliście mężczyzn o takiej władzy.

Ja poznałam jednego z nich, gdy miałam czternaście lat, choć zdałam sobie z tego sprawę znacznie później. Moja przyjaciółka, nazwijmy ją Lisa, zapytała, czy mam ochotę wybrać się z nią na obóz teatralny prowadzony przez księdza,

bliskiego przyjaciela jej rodziny. Nie mam słów, by wyrazić, jak ekscytowała mnie ta wizja. Razem z Lisą chodiliśmy do katolickiej szkoły dla dziewcząt prowadzonej przez zakonnice, a tutaj miałyśmy szansę na cały weekend z grupą innych nastolatków, w tym prawdziwych chłopaków, i początek przygody z aktorstwem. Bałam się przyznać, że chciałabym się nauczyć tej sztuki. Wydawało mi się, że trzeba być strasznie zarozumiałym, żeby mówić na głos podobne rzeczy. A jednak zapytałam rodziców, czy mogłabym się tam wybrać – a los się do mnie uśmiechnął.

Obóz odbywał się w wiejskiej posiadłości nieopodal miejscowości Lancefield w australijskim stanie Wiktorja. Prowadził go ojciec Glennon, ksiądz po czterdziestce. „Mówcie mi Michael”, powiedział. Miał gęste jasne włosy, zapadniętą twarz i skłonność do ciągłego gadania. Przyjechał swoim vanem po Lisę i mnie, a jej rodzice wyszli przed dom, by pomachać nam na do widzenia. Przez całą drogę do Lancefield siedziała obok niego na swoim ulubionym miejscu – siedzeniu pasażera. Glennon wyjaśnił, że posiadłość, do której jedziemy, jest miejscem katolickich rekolekcji. Przypominający raczej sporą halę dom znajdował się wśród gęstych krzaków. Było to miejsce chłodne, odosobnione, niedaleko okolic, w których w latach 70. ubiegłego wieku archeolodzy odnaleźli skupisko ogromnych kości. Przed dziesiątkami tysięcy lat po tych terenach chodziły potężne torbacze. Gdyby wciąż żyły, rozpoznałyby pradawne, ponure eukaliptusy, które nas otaczały. Wewnątrz domu-hali znajdowało się ogromne pomieszczenie z kominkiem, w którym dzieciaki chowały się w śpiwory i gadały do świtu.

Nie pamiętam, która to była godzina, gdy Lisa, ja i jeszcze uroczy chłopak o ciemnych włosach siedzieliśmy z Michaeliem

Glennonem przy kominku. Glennon wygłaszał życzliwe kazanie, duchowy monolog, którego w normalnych okolicznościach pilnie bym słuchała. Teraz jednak rozpraszał mnie ten chłopak, który w dodatku na mnie patrzył. Potem Glennon powiedział całej naszej trójce, że to piękna sprawa, gdy ludzie się Kochają, i że miłość to coś wyjątkowego. Dodał parę słów o zaufaniu i wolności manifestowania miłości i że byłoby wspaniale, gdybyśmy całą czwórką udali się do sąsiedniego pokoju, jego sypialni – jedyne pomieszczenia z zamykanymi drzwiami – i zdjęli tam ubrania. Nagość przed sobą nawzajem była, jak twierdził, dobrym sposobem okazania sobie zaufania.

Muszę dodać, że moja obecność na obozie w tamten weekend na początku stała pod znakiem zapytania. Rodzicom niezbyt się spodobał taki pomysł. Dorastałam na katolickich przedmieściach, chodziłam do katolickiej szkoły i co niedziela przystępowałam do Komunii Świętej, a moi rodzice byli najbardziej wierzącymi ludźmi, jakich znałam. Podczas jednej z tych rzadkich chwil, gdy odwiedził nas lokalny duchowny, chyba nawet nim wstrząsnęła ich gorliwość.

W większości był to efekt wychowania mojego ojca. Dorastał u dziadków, urodzonych dosłownie w środku XIX wieku, i dzielił ich światopogląd. Był konserwatywny do szpiku kości, posłuszny jednemu prawdziwemu Bogu, często despotyczny wobec swoich dzieci. Jak się okazało, i on, i moja matka słyszeli nieco niepokojących rzeczy o księdzu Glennonie, przez co początkowo nie chcieli mnie puścić do Lancefield. Wreszcie, wobec mojego rozpaczliwego uporu oraz faktu, że Glennon był w końcu księdzem, ulegli.

Jest pewną okrutną ironią wiara rodziców w królestwo niebieskie i pragnienie zagwarantowania dzieciom miejsca w jego

Szokująca historia dwudziestowiecznych sierocińców, w których przez dekady skrywano przemoc, okrucieństwo, molestowanie seksualne i śmierć.

Przez większość ubiegłego wieku za murami sierocińców rozgrywały się straszliwe wydarzenia. Ci, którzy przetrwali, przez wiele lat próbowali opowiedzieć swoje tragiczne losy. Dziennikarka Christine Kenneally poświęciła dziesięć lat, starając się odkryć potworną prawdę.

Skupiając historię wokół Sierocińca Świętego Józefa, katolickiej placówki w amerykańskim stanie Vermont, Kenneally spisała porażającą listę zbrodni i niegodziwości. Dotarła do najciemniejszych zakamarków szeregu instytucji na całym świecie, odkrywając przy tym straszliwe szczegóły i odważną grupę ofiar szukających sprawiedliwości.

Kenneally każdą indywidualną historię traktuje z wielką uwagą, dbając o to, by tym razem ci, których zawiódł system, zostali wysłuchani.

Piektó sierocińca to reportaż w stylu true crime, pokazujący przeszłość, którą zbyt długo ukrywano — a skutki są opłakane.

Zamknięty, okrutny świat sierocińca mógłby się wydawać światem fantastycznym, ale to, co tam się zdarzyło, to twarda rzeczywistość, której ślady wciąż są wśród nas, w zapiskach i wspomnieniach, i tylko czekają, aż je odkryjemy.

cena 54,90 zł

wydawnictwofiliala.pl



FILIA

NA FAKTACH

ISBN 978-83-8357-372-4



9 788383 573724